Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Piątek 13 Kwietnia — Ner 22. — 1838 Roku.

UBOGI POETA.

Z FRANCUZKIEGO ACHYLLA GALLET.

W jednym domu przy ulicy *St. Denis*, w małéj izdebcę pod strychem, widzimy młodego mężczyznę; jest on i chudy, i blady, starym szlafrokiem aż po same oczy owinięty, od zimna strętwiały i w głębokiém milczeniu pogrążony. Nędza, która na jego bladych licach osiadła, otoczyła go także do koła: gołe, zbrukane ściany, kominek bez ognia, okno szronem w kwiaty umalowane, ubogie łóżko, dwa sosnowe stołki i od czérwu stoczony stolik, na którym porozrzucane papiéry; otóż wszystko, co ta izdebka w sobie mieści, do któréj opisania tylko i to jeszcze dodać należy, że jest na szóstém piętrze.

Ciche zakołatanie do drzwi izdebki obudziło z zadumania naszego Emila, tak się zwał ten blady, młody mężczyzna. Podniósł się ze stołka i drzwi otworzył. Ten, który go tak rano odwiédził, byłto człowiek mający lat sześćdziesiąt z okładem i twarz bardzo zwyczajnego wyrazu; pozdrowił go lekkiém ruszeniem głowy. Emil zadrżał z przestrachu, poznał w nim swojego gospodarza, któremu za pomieszkanie 37 franków był winien.

«Ah, panie!» zawołał, «wiém poco przychodzisz — pozwól mi jeszcze kilka dni czasu, wszakże kwota, którą winięnem, niejest tak wielka, uiszczę się niezawodnie, lecz teraz jéj na żaden sposób zapłacić niémogę.»

«Jeżeli tak, więc i ja waćpana na żaden sposób dłużéj w mym domu mieścić niémogę.»

Emil zamyślił się na chwilę: »Niémam nic przeciwko temu; waćpan postępujesz sobie w miarę swego prawa; ale przecież wolno mi będzie prosić o jednę łaskę?«

«A taby była?»

«Abyś mi jeszcze dwadzieścia cztéry godzin czasu pozwolił, może w tym przeciągu wystaram się i spłacę należytość waćpanu.»

«Jakkolwiek to niezgadza się z mym zwyczajem,» odrzekł pan L. zażywszy tabaki, «jednakże, gdy stan waćpana wzbudza we mnie jakoweś politowanie, zezwalam więc na jego prośbę. Lecz pamiętaj waćpan dobrze, że jeźli jutro do południa nieotrzymam 37 franków i 50 centymów, które waćpan za czynsz i za inne drobiazgi jesteś mi winien; natenczas drzwi w tym domu będą na zawsze dla waćpana zamknięte.» Pan L. wyrzekłszy słowa te dobitnym głosem i stwiérdziwszy je miną, która wątpić niekazała o ich prawdzie, pozdrowił znowu Emila ruszeniem głowy i odszedł.

Emil gnany rozpaczą, zbiégał prawie cały Paryż, zwiédził wszystkich swoich znajomych i przyjaciół, ale od żadnego niémógł nic więcéj wziąść w pomoc, jak tylko same wymówki, uniewinnienia, lekkie wzruszenie ramion, lub czcze pocieszenie. Dwadzieścia cztéry godzin minęło, a biédny Emil wrócił strapiony do pomiészkania. Pan L. czekał go już na wschodach.

«No, cóż tam? jakże? powiodło się waćpanu? Przynosisz mi piéniądze?»

«Niestety! nieprzynoszę.»

«To bardzo źle; przypomnieć sobie, jaka była umowa,» rzekł pan L. z oziębłością.

«Czyń waćpan wedle swego sumienia i woli,» rzekł Emil głęboko westchnąwszy, «ale przecież pozwolisz mi, abym zabrał moje papiéry?»

«Gdyby papiéry te niebyły w meblach moich, niémiałbym nic przeciwko temu, ale ponieważ rzecz się ma inaczéj, więc —»

«Jako? byłżebyś aż do tego stopnia okrutnym?» rzekł Emil zadrżawszy; «rozważ tylko, że te papiéry są moim jedynym skarbem; dla waćpana niémają żadnéj wartości, a dla mnie są nieocénione.»

«Być może, wierzę temu i właśnie ta przyczyna, że waćpan w nich tak wielką pokładasz wartość, nakłania mię do tego, ażebym je zatrzymał. Bąć mi waćpan zdrów!»

Emil stracił prawie zmysły, wyciągnął ku panu L. swoję strętwiałą rękę, wpatrzył się w niego osłupiałym wźrokiem, i oddalając się rzekł stłumionym

głosem te słowa: «Człowieku, ty niewiész, jak mię nieszczęśliwym czynisz! Oby ci Bóg to nieszczęście przebaczył, którego sprawcą będziesz!»

Zaledwo Emil odszedł, a już pan L. zdjęty ciekawością, co téż owe papiéry w sobie zawiérają, wszedł do izdebki Emila i z troskliwością przeglądnął wszystkie sprzęty. Atoli skutek nieodpowiedział bynajmniéj jego oczekiwaniu. Nic więcéj nieznalazł, prócz jednego tomika dzieł Moliera, kilka tomów romansu Waltera Scotta, kilka zeszytów pism czasowych, rozmaitych ułamków pozaczynanych poezyj, nakoniec jeden egzemplarz dramatu w pięciu aktach wiérszem, bardzo czysto i na pięknym papiérze napisanego.

Pan L. byłto człowiek zwyczajnego rozumu, umiał nim zrobić majątek, a że był przysięgłym i wyborcą, rościł sobie także niejakie prawo i do sławy jeniuszu; mniemał, iżto tak łatwo pozyskać niebiańskie, jak i ziemskie dobro! Za młodu doświadczał się on kilkakrotnie na polu autorskiém, ale zawsze bezskutecznie; pomimo to jednak zwykł z największą zarozumiałością utrzymywać o sobie, że się ze swojém powołaniem rozminął. Schował więc znalezione papiéry do kieszeni, aby sobie stratę 37 franków i 50 centymów przynajmniéj odczytaniem dramatu wynagrodził.

Pod wieczór tego samego dnia, którego tak nieludzko wygnał Emila z swego domu, zaprosił pan L. kilku poufałych przyjacioł do siebie na wieczorną zabawę; tak bowiém nazywał pijatykę, którą zwykle co miesiąc cztéry razy wyprawiał. Z gości zaproszonych był także jego siostrzeniec Fryderyk, młody aktor, którego uwagi, co się dotyczé sztuki, pan L. za wyrocznię uważał, i którego sąd w téj mierze był dla niego stanowczy. Gdy już zebrano ze stołu, głowy się rozegrzały, a rozmowa zaczęła się toczyć poufaléj, prosił pan L. swych gości, by się na chwilę uciszyć raczyli, i wyjąwszy z swego biórka dramat Emila, podał go rzeczonemu artyście, mówiąc: «Bądź téż łaskaw i powiédz mi, jak ci się podoba to dziełko.»

Fryderyk, jakkowiek tylko aktor drugiego rzędu, miał jednak smak wykształcony i takt dosko-

nały. Otworzył rękopis z tém najszczérszém przekonaniem, że będzie w sobie zawiérać wielkie niedorzeczności; ale jakież było jego zadziwienie, gdy w scenach, które czytał, znalazł język pełen siły i ognia, a działanie, nietylko bardzo ciekawe, ale i po mistrzowsku prowadzone. Im daléj czytał, tém bardziéj się pięknościom podziwiał. Nareszcie ze skwapliwością obrócił się do pana L., prosząc go, ażeby mu wymiénił nazwisko autora. Pan L. nieodrzekł ani słowa, i zaczął sobie z wielkiém upodobaniem głaskać podbrodek, a oczy jego świéciły się słodkiém zadowoleniem.

«Jako? czy podobna? Więcto waćpan jesteś?» zawołał Fryderyk w najwyższym stopniu zadziwienia.

Pan L. chwiał się przez chwilę; lecz widząc, że wszyscy na niego zwrócili oczy i z jego ust czekali odpowiedzi, powodowany próżnością, a może i napojem rozmarzony, odrzekł: «Tak jest, moi drodzy przyjaciele, jato jestem autorem tego dzieła!»

Na te słowa Fryderyk zerwał się z krzesła, i uklęknąwszy przed swym wujem, zawołał: «Jeżeli tak, pozwól więc wujaszku, niech w tobie powitam jednego z piérwszych poetów w naszym wieku!» To rzekłszy ucałował go w kolano.

«Ty chcesz sobie ze mnie żarty stroić!» odrzekł pan L. z uśmiéchem.

«Na moję poczciwość! nazwiesz mię wujaszku najgłupszym człowiekiem, jaki tylko kiedy żył na świecie, jeżeli ten dramat niejest arcy-misterném dziełem.»

Pan L. zaczął być niespokojnym w roli, którą wziął na siebie, i długo się wahał; ale bąć, że szampan, który mu zamącił głowę, ukrył przed nim niebezpieczeństwo kłamstwa jego, bąć że postanowił odważnie narazić się na to, co go spotkać mogło, rzekł nareszcie w te słowa: »Sądzisz więc Fryderyku, że to dzieło zasługuje na niejaką uwagę?»

«Ja sądzę,» odrzekł tenże, »że to dzieło nietylko godne jest uwagi wszystkich znawców, ale nawet, że z wielkiémi oklaskami przyjęte będzie.«

«Czy do prawdy?»

«Niezawodnie — Zechceszże wujaszku powierzyć mi ten rękopis do jutra?»

«Najchętniéj.»

Fryderyk wziąwszy kapelusz i rękawiczki, zamyślał już odéjść, lecz przypadkiem jeszcze raz rzuciwszy okiem na dramat Emila, postrzégł, że dzieło to jeszcze tytułu niémiało: «Co ja widzę! Ten twór jeszcze nieochrzczony!» rzekł Fryderyk do pana L., od progu wróciwszy; jakże go nazwiesz wujaszku?»

«Ja sam jeszcze niejestem z sobą w zgodzie jaki mu nadać tytuł,» odrzekł tenże cokolwiek zmięszany.

«O miano łatwiéj; jutro się naradzimy.»

Zaledwo się Fryderyk oddalił, już zaczął pan L. żałować, że tak nierozważnie postąpił sobie z rękopisem, i że tak nieludzko wygnał z swego domu Emila. Nazajutrz starał się sam dowiedzieć o jego pomiészkaniu; lecz gdy wszelkie poszukiwanie jego było nadaremne, i gdy w przeciągu kilku tygodni niémożna było na żaden sposób zasięgnąć wiadomości o tym młodym człowieku; postanowił śmiało stawić czoło wszelkim wypadkom, na jakieby go położenie to narazić mogło.

Dramat Emila, jak Fryderyk przepowiedział, przyjęła dyrekcya z największą wdzięcznością i w dwa miesiące poźniéj został śród jednogłośnych okrzyków i uniesień przedstawionym. Pan L. prosił wprawdzie swego siostrzeńca, aby jego nazwiska niewymiéniał; lecz po skończoném widowisku, gdy jak piorunna burza zaczęły grzmiéć oklaski i kilka tysięcy osób domagało się nieodparcie wymiénienia nazwiska poety, wtedy Fryderyk, który jednę z ról najcelniéjszych jak najtrafniéj przedstawiał, uniesiony szczęśliwém powodzeniem i zaszczytem, zapomniawszy o napomnieniach swego wuja, wymienił zachwyconéj publiczności: że pan L. jest autorem tego dramatu.

(DOKOŃCZENIE NASTĄPI.)

—o⁂o—

DO MŁODÉJ POLKI.

Z LAMARTINE.

Łabędź wodzi swój obraz w swoich (wód jeziorze.
Przeglądają się błyski w swoich wła- (snych szatach,
Niebiosa w oceanie, twórca w swoim (tworze,
A my ludzie w przyszłości latach.

W przyszłości jak szkło bladéj i chło- (dnéj, niestety,
Jak północne jeziora w kraju twym (ojczystym;
Te błyski i źwierciadła czém są (dla poety?
On myśli o śnie wieczystym!

Ale w żyjącém sercu razem odbić (siebie,
Ale w oku dziewicy, w którém przy- (jaźń gości,
Napotkać niespodzianie spójrzenie (miłości,
Jak gwiazdę na nocném niebie!

Ale myśléć, śród burzy i skołatań (świata,
W jedném jasném światełku co w tym (świecie stoi,
Od wzgardy, od potwarzy, która (mną pomiata,
Przytułek jest sławie mojéj!

Jest przecie jedno serce, które śpiéw (mój wzrusza,
Co me tony jak niebo w łonie swém (pomieszcza,
Gdzie mój głos się rozbija, promieni (się dusza,
Ah, oto nagroda wieszcza!

Ma sława, mój przytułek do twych (dni przybity,
I cóż, że nasze śpiéwy gubi czas z (pośpiechem?
Żyć cichym i nieznanym, a żyć w (snach kobiéty,
Jéj serce miénić swém echem;

Czuć jak bije westchnienie co w swéj (piersi głuszy,
Przyglądać się nieznacznie łez tajo- (néj rosie,
Być powiernikiem myśli jak przyja- (ciel duszy,
Swe imię słyszéć w jéj głosie!

Z nią sam na sam iść w gaje i gdzie (zdrój szeleści,
Przeciągać błysk jéj lampy do nocy (połowy;
Miéć imię, które kocha i być snem (co pieści,
Oto są wiénce méj głowy! *A.T.*

UWAGI M. G. SAPHIRA O DZIEŁACH DRAMATYCZNYCH GÖTEGO I SZYLLERA.

Nieśmiertelność autora zależy od sposobu jakim ją sobie zasłużył. Niemcy mieli tylko jednego prawdziwie dramatycznego poetę, a tym był Szyller. Jeden tylko Szyller umiał w dramatycznych tworach swoich zadowolnić publiczność zupełnie. Wszystkie dramata Götego, acz doskonałe formy nowoczesnego dramatycznego kunsztu, mają tę wadę, iż

żaden z bohatérów jego niéma przed sobą wyraźnie wytkniętego celu, do któregoby wielkiemi środkami i wielką siłą dążąc, albo wielce wszystkie przeszkody zwyciężył, albo złamawszy się z niémi potężnie, wielce pod ich nawałem uległ.

Dla tego, że wszystkie Szyllerowskie charaktery mają cel jasny, oznaczony i dla wszystkich widomy, że z konsekwencyą żywo do zamiaru dążąc, skutecznie działają; dla tego téż powszechnie dla wszystkich są miłémi i dla tego, nawet na mniéj estetycznie ukształconym umyśle, wielkie wrażenie czynią.

Wiémy, jaki jest zamiar wszystkich bohatérów Szyllera, lecz prawie nigdy jaki jest bohaterów Götego.

Charaktery te muszą się podobać, ponieważ wola ich jest wyraźna, wiedzą czego chcą i ku czemu dążą; a ta ich chęć mocna, ta ich wola żelazna, ten ich zamiar niezachwiany, są dostatecznémi, aby zajęły wszystkich powszechnie, bo wszyscy widzą monetę, do któréj śród potężnych przeszkód potężnie kroczą; ta siła wielka śród przeszkód wielkich do wielkiego celu, ta potężna walka z potężnym losem, nietylko ludziom, lecz i bogom miła!

Charaktery Götego niémają żadnego wyraźnego celu; ich zamiarem jest tylko okazać swój charakter, ale o dopięcie celu tego charakteru, bynajmniéj się nietroszczą; chcą one stosunkami świata podług przymiotowości natury swojéj, zawładnąć, ale ponieważ przymiotowość ta, dla większéj części widzów jest zagadką, tkaniną zagmatwaną, dla tego téż tak łatwo i udziału sobie zjednać niémogą.

Egmont ma tylko zamiar żyć podług swego sposobu myślenia, i dla tego téż ginie li w skutek swego charakteru, niezaś w skutek c z y n u swego charakteru; jego wola jest n i e j a k a, b y n a j m n i é j d z i a ł a l n a; podobnież *Orani* tylko przez swój charakter ocalonym zostaje. Traiczność ich opiéra się jedynie na tém, że charaktery ich stawią się w czasie takich stosunków, które się z niémi bynajmniéj niezgadzają niejest to więc z woli wywodne, z zamiaru przez następność środków wywiązujące się działanie, lecz jedynie przypadkowy zbieg okoliczności, ściérający się z formami ich charakterów.

Götz z Berlichingen jest obrazem feudalnego rycérstwa; jego charakterem jest jego stan i okoliczności; lecz w około niego odmiéniają się i wszystkie stany i wszystkie okoliczności: Rzesza niemiecka, césarz, rycérstwo, świecki i duchowny porządek. Tu znowu tylko zbieg charakteru z odmianą czasu w walce, styczność i krzyżowanie się jednego z drugim, tworzą osnowę całego zdarzenia. Götz jest zmuszonym koniecznością do działania; lecz ponieważ dla wyświécenia téj konieczności i bodziec czasu wyjawionym być musiał, przeto i całą szérokość i cały aparat czasu przedstawić należało, co tyle miejsca na scenie zabiéra, że już dla samego Götz Berlichynga mało pozostaje. *Klawiga* charakterem, że niéma żadnego charakteru. Będąc mdléj woli, zamiaru kruchego, musiał zginąć trąciwszy o kształty charakterów mocnych, którémi otoczony. W *Tasonie* niezajmują nas charaktery, ale ich różność; jednakże różność ta (Taso, Antonio) spoczywa tylko w naturze różnicy ich życia, a nie w różnicy dążenia do celu. I w *Córce Natury* stoi Eugenija niejak charakter, ale raczéj jako umysł, jako sentyment; niedziała i nieodpiéra, ale czuje i ciérpi.

Po tém pobieżném skréśleniu wróćmyż do Szyllera, do jego bohaterów, przedstawiających niepodzielną jedność charakteru z wolą, siły z podstępem. Zacząwszy od *Filipa* aż do *Hassana*, od *Izabelli* aż do *Tekli*, od *Pozy* aż do *Mortymera*, wszyscy jego bohatérowie wiedzą o swym zamiarze, wszyscy dążą z wytężoną siłą do osiągnienia swego zamiaru, i tym sposobem stają się bohatérami, za którymi kroczy podziw i chwała!

Na piędzi ziemi, w małéj krainie, dla nieśmiertelnego autora stawią pomniki! Gdzież jest kraj, w którym sam go już sobie niepostawił? Na skalistych górach Szkocyi stoi jego *Makbet*; w mglistym Albionie promiéni się uroczo *Maria Stuart*; na polach Hiszpanii idą dwa nieśmiertelne duchy *Pozy* i *Elżbiéty*, na równinach Francyi roztacza chorągiew zbawienia *Dziewica z Orleanu*. Na lodowcach Szwajcaryi umysł *Tella* sięga niebios; w Italskiéj krainie mówi *Fiesko* i *Oblubienica z Messyny*, do najodległéjszych pokoleń; w Niemczech dumają dwa duże posągi: *Wielki Wallensztain* i *Zbójca Moor* i t. d.

Niémożna i tego pominąć, że po największéj części we wszystkich trajedyach Szyllerowskich rozkwita szczep katolicyzmu, że nad traiczną osnową Maryi Stuart, Oblubienicy z Messyny, Dziewicy z Orleanu, roztacza się woniejące, bogato ozdobione, gwieździste, błogosławiéństwo rozléwające niebo katolickiego kościoła, z wszystkiémi promiéniami i zastępami aniołów. Kościoł ten występuje w tych duszach jako warunek ognistego działania moralnéj natury i jako niewidome zjednoczenie wolności z koniecznością.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.